

4.

Terroryzm a religia

ZYGMUNT BAUMAN

Wrocław 2007

Mark Juergensmeyer przeanalizował skomplikowaną mieszankę religii, nacjonalizmu i przemocy odpowiedzialną za ciągłe wrzenie doprowadzające od czasu do czasu do wybuchu plemiennych waśni w Pendżabie. Skupił się szczególnie na terroryzmie sikhijskim, odpowiedzialnym za śmierć tysięcy ofiar, między innymi także za zamordowanie premier Indii, Indiry Gandhi. Jego badania potwierdziły to, czego mógł się spodziewać on sam, jak i wielu innych badaczy przed rozpoczęciem badań w tej dziedzinie: „Młodzi Sikhowie mieli wszelkie powody, by czuć się nieszczęśliwi”, zarówno ze względów ekonomicznych, politycznych, jak i społecznych. Zmuszeni byli sprzedawać produkty ze swych gospodarstw poniżej cen rynkowych, a opresyjna polityka rządzącej Partii Kongresowej zredukowała ich zdolność do decydowania o sobie samych praktycznie do zera. Czuli się bezlitośnie poniżani i nieomal upośledzeni w stosunku do bogatszych mieszkańców miast. Juergensmeyer spodziewał się także znaleźć dowody na „upolitycznienie religii”. W tym celu przestudiował nauki duchowe młodego wojującego lidera Sikhów, Sant Jarnail Singh Bhindranwale’a, przez swoich niezliczonych zwolenników czczonego jako świętego męczennika. I tu spotkało go zaskoczenie. W mowach Bhindranwale’a znalazł jedynie szczątkowe i powierzchowne odniesienia do gospodarki, polityki czy klas społecznych. Zamiast tego duchowny, podobnie jak zastępy

ewangelistów amerykańskiej odnowy religijnej przemierzających rolnicze tereny stanów Środkowego Zachodu, mówił o wojnie dobra ze złem i prawdy z kłamstwem, toczącej się w każdej chorej duszy, i wzywał do wyrzeczeń, poświęcenia i odkupienia. Wydawało się, że słowa swe kierował szczególnie do młodych mężczyzn, pragnąc ich odwieść od pokusy łatwych kompromisów współczesnego życia.

W przeciwieństwie jednak do kaznodziei amerykańskiego konserwatywnego Południa, kazania Bhindranwale'a zawierały znacznie więcej odniesień do współczesnych przywódców politycznych. Bhindranwale nadawał swej duchowej wojnie zdecydowanie „zewnątrzny” wymiar: twierdził, że siłom szatana udało się w jakiś sposób dotrzeć na Ziemię i zamieszkać w oficjalnych budynkach rządowych Indii. Zaintrygowany tym, Juergensmeyer poszerzył zakres swych badań o wiele innych miejsc, takich jak Kaszmir, Sri Lanka, Iran, Egipt, Palestyna czy osiedla izraelskie, gdzie granice plemiennej czy klasowej przynależności wytyczono za pomocą religii, a krew przelewano w imię świętych wartości cnotliwego, pobożnego i świątobliwego życia – i wszędzie odnalazł podobny schemat: nie tyle „upolitycznienia religii”, ile (używając jego sformułowania) religizacji polityki. Niezwiązane z religią roszczenia, dotyczące takich kwestii jak tożsamość społeczna czy zakres wpływu na życie wspólnoty, niegdyś wyrażane językiem marksistowskiej lub nacjonalistycznej ideologii, zostały zastąpione sformułowaniami ideologicznymi ze słownika odnowy religijnej: „Świeckie ideologiczne wyrazy buntu zostały zastąpione przez sformułowania ideologiczne o charakterze religijnym. A jednak same problemy – poczucie alienacji, marginalizacji i frustracji społecznej – pozostały często takie same”.

Charles Kimball zauważa zjawiska bliskie „religizacji polityki” w słownictwie obecnej administracji amerykańskiej. Prezydent Bush, twórczo rozwijając język wprowadzony do amerykańskiego życia politycznego przez Ronalda Reagana, lubi mówić o „kosmicznym dualizmie” krajów dobra, którym przewodzą Stany Zjednoczone, oraz tych należących do sił zła: „Musicie sprzymierzyć się z siłami dobra i pomóc im wypenić siły zła”. Bush nie raz wspominał o amerykańskich ekspedycjach militarnych jako o „krucjatach” i „misjach” podejmowanych z Bożego nakazu (Kimball 36). Henry A. Giroux cytuje Johna Ashcrofta, byłego prokuratora generalnego USA: „Jako jedyna pośród narodów świata Ameryka uznała, że źródło naszego charakteru bije w tym, co boskie i wieczne, a nie obywatelskie czy świeckie... Nie ma u nas większego króla nad Chrystusa”. Giroux

przestrzega przed pojawieniem się na amerykańskiej scenie politycznej „moralnych aparatczyków”, którzy „wierzą, że wpływ Szatana kształtuje wszystko, od liberalnych mediów po sposób, w jaki śpiewa Barbra Streisand” (Giroux, par. 10). Pisz on dalej:

Dziennikarz Bill Moyers określił to jako „politykę uniesień”, w której tekst Biblii traktuje się dosłownie, różnicę zdań jako znak Antychrysta, a „grzesznicy zostaną skazani na wieczne piekło”. Łączenie się prawicowej wersji religii z konserwatywną ideologią polityczną i władzą korporacji nie tylko legitymizuje nietolerancję i antydemokratyczne formy poprawności politycznej, ale także przygotowuje grunt pod rozwój autorytaryzmu, który łatwo wyszydza wszelkie apele do rozumu, różnicy zdań, dialogu i świeckiego humanizmu” (Giroux, par. 11).

W irytująco wielogłosowym, pogmatwanym i zwodniczym świecie krzyżujących się ze sobą, a mimo to wzajemnie wykluczających się przekazów, których jedynym celem wydaje się kwestionowanie i podminowywanie swojej własnej wiarygodności, monoteistyczne religie wspólnie z manichejskimi, czarno-białymi wizjami świata są chyba ostatnimi bastionami monowiary, jednej drogi, jednej formuły na życie – niezłomnej i wojowniczej pewności siebie, ostatnim schronieniem poszukiwaczy jasności, czystości i wolności od zwątpienia i niezdecydowania. Obiecują skarby, których reszta świata bezczelnie i uparcie odmawia: samoakceptację, czyste sumienie i dobre samopoczucie wynikające z braku możliwości popełnienia błędu – i przekonania o posiadaniu zawsze racji. Czyni tak na przykład Jamaat Ahli Hadith, „ściśle ortodoksyjna” organizacja z Birminghamu, która praktykuje formę islamu żądającą odseparowania się od głównego nurtu życia społecznego. Na swojej stronie internetowej opisuje ona sposób, w jaki żyją „niewierzący”, jako „oparty o chore i wykolejone poglądy na społeczeństwo,

MANICHEIZM, gnostycki, dualistyczny system religijny, utworzony przez Maniego („Apostoła Światła”) w Persji w III wieku. Choć przez wieki uważano go za odłam chrześcijaństwa, manicheizm tak naprawdę był religią misyjną. Rozpowszechnił się w imperium rzymskim i zanikł w Europie przed końcem VI wieku. Manes chciał utworzyć prawdziwie ekumeniczną religię, która łączyłaby objawienia Zoroastra, Buddy i Jezusa. Dlatego, w zależności od kontekstu, system ten przypomina religie irańskie i indyjskie, a także chrześcijaństwo, buddyzm czy taoizm. Manichejczycy wierzyli, że zbawienie jest możliwe dzięki zgłębieniu wiedzy (*gnosis*) o prawdach duchowych.

wszechświat i samą egzystencję” („Muslim leaders”). Podobnie enklawy ortodoksyjnych Żydów w Izraelu, które zgodnie z opisem Uriego Avnery’ego posiadają „własną logikę”, a „cała reszta niewiele ich obchodzi” (Wywiad z Urim Avnerym, 33–39). Żyją w całkowicie zamkniętym, teokratycznym społeczeństwie, na które to, co jest na zewnątrz, nie ma wpływu. Wierzą jedynie w swój własny świat. Inaczej się ubierają i odmiennie zachowują. W ogóle są odmiennym typem ludzi.

Nie ma z nimi prawie żadnego kontaktu. Posługują się innym językiem i mają zupełnie inny pogląd na świat. Podlegają całkowicie odmiennym prawom i zasadom.

To ludzie, którzy żyją odosobnieni w swych własnych społecznościach czy dzielnicach, czy też miastach izraelskich. Nie utrzymują żadnych kontaktów ze zwykłym społeczeństwem izraelskim.

Rzeczywiście, manichejska wizja świata, wezwanie do broni w świętej wojnie przeciwko szatańskim siłom szykującym się do podboju wszechświata, a także zredukowanie puszek Pandory ekonomicznych, politycznych i społecznych konfliktów do apokaliptycznej wizji ostatniej bitwy na śmierć i życie pomiędzy siłami dobra i zła nie są wzorcem charakterystycznym dla islamskich ajatollahów.

Na naszej szybko globalizującej się planecie religizacja polityki, społecznej krzywdy, tożsamości i jej uznania wydaje się tendencją globalną.

Możemy patrzeć w całkiem różnych kierunkach i unikać cudzego wzroku, ale wydaje się, że wciśnięto nas do wspólnej łodzi pozbawionej wiarygodnego kompasu i sternika. I choć koordynacja naszych wioseł pozostawia wiele do życzenia, jesteśmy uderzająco podobni pod jednym kątem: nikt z nas, a może prawie nikt, nie uważa (ani też się do tego nie przyzna), że broniąc uprzednio uzyskanych przywilejów lub domagając się tych, których nam dotychczas odmawiano, kieruje się wyłącznie własnym interesem. Wszystkie strony natomiast wydają się dziś walczyć o wieczne, uniwersalne i absolutne wartości. Paradoksalnie,

PŁYNNA NOWOCZESNOŚĆ, pojęcie Zygmunta Baumana (ur. 1925), brytyjskiego socjologa polskiego pochodzenia. Dzisiejszy świat jest płynny, w przeciwieństwie do poprzedzającej go „stałej” nowoczesności. Płynna nowoczesność charakteryzuje się niestabilnymi formami społecznymi oraz instytucjami, które nie służą już za punkt odniesienia dla ludzkiego życia. Dlatego też jednostki organizują życie w formie niekończących się i niełączących w sekwencje serii krótkoterminowych projektów. Jednostki muszą też być elastyczne i nieustannie otwarte na zmianę, żeby być w stanie bez żalu porzucić zobowiązania i angażować się w obecnie dostępne możliwości.

zaadaptowawszy się w płynnonowoczesnej części globu, nakłaniani jesteście do ignorowania tych wartości w naszej codziennej krzątaninie i kierowania się krótkoterminowymi celami i doraźnymi pragnieniami – ale nawet wtedy, a może właśnie wtedy, tym boleśniej odczuwamy ich brak lub nieobecność za każdym razem, gdy (o ile w ogóle to czynimy) próbujemy odczytać motywy przewodni w kakofonii, kształt we mgle lub drogę na ruchomych piaskach.

Muzułmanie nie są jedynymi ludźmi, którzy chętnie wsłuchują się, których łatwo może uwieść syreni śpiew. A jeśli słuchają i pozwalają się uwieść, nie czynią tego, bo są mużulmanami – ich mużulmańskość tłumaczy jedynie, dlaczego wolą głos mułłów i ajatollahów od głosu syren innych religii. Inni, którzy słuchają równie chętnie i równie chętnie pozwalają się uwieść, nie będąc mużulmanami, będą mogli wybierać z bogatego zestawu syrenich melodii takie, które uznają za krzepiąco swojskie i które najlepiej będą współbrzmieć z ich własnymi melodiami. Syrenie śpiewy każdej religii mogą znaleźć wsparcie w świętych księgach. Koran podobny jest w tym księgom Starego Testamentu, wspólnej inspiracji zarówno judaizmu, jak i chrześcijaństwa. Wojska Jozuego, według Pisma, zabijały a to 12, a to 10 tysięcy mężczyzn i kobiet Kanaanu, a sam Jozue „nie cofnął ręki, w której trzymał zakrzywiony nóż, dopóki nie zgładzono wszystkich mieszkańców” (Księga Jozuego 8, 25–27), i dopilnował, by „zabili wszystkich żyjących, tak że nikt nie ocalał” (Księga Jozuego 10, 28–32).

Tak się złożyło na początku XXI wieku, że dla wielu młodych mużulmanów bycie mużulmaninem oznacza bycie ofiarą wielorakich deprywacji, a także odcięcie od (lub wykluczenie z) otwartych możliwości ucieczki ze strefy ucisku, od ścieżek osobistej emancypacji i dążenia do szczęścia, którymi tak wielu innych, nie-mużulmanów wydaje się stąpać z zadziwiajączą i irytującą łatwością.

Istnieje wiele powodów, dla których młodzi mużulmanie mają prawo tak postrzegać swoją sytuację. Oficjalnie klasyfikuje się ich jako należących do części ludzkości zapóźnionej w stosunku do tej „zaawansowanej”, „rozwinętej”, „postępowej” reszty świata. Zamknięci w swym nie do pozazdroszczenia losie przez znowę własnych bezwzględnych i aroganckich rządów i rządów tej „zaawansowanej” części planety, które bezwzględnie zabraniają im wejścia do obiecanej i gorąco pożądanej krainy szczęścia i godności. Wybór między dwoma wariantami okrutnego losu, czy raczej dwoma obliczami okrucieństwa losu, to wybór między młotem a kowadłem.

Młodzi muzułmanie mogą próbować oszukiwać, próbować się w jakiś sposób przesliznąć lub obejść „płonące miecze i cherubiny” pilnujące bram nowoczesnego raju po to tylko (jeśli uda im się zmylić strażę i gładko przejść przez punkty granicznej kontroli), by dowiedzieć się, że nie są tam mile widziani i że nie wolno im dążyć do tego, o co się ich jednocześnie oskarża i z powodu czego ośmiesza się ich brak gorliwości; a bycie tam wcale nie oznacza cieszenia się tym rodzajem szczęścia i godnego życia, które ich przyciągnęło.

W rzeczywistości tkwią w impasie: odrzuceni przez rodzimą wspólnotę za dezercję i zdradę, niedopuszczani do społeczeństwa swoich marzeń z powodu swej rzekomej połowiczności i nieszczerości lub, co gorsza, doskonałości i widocznej prostoduszności ich zdrady/konwersji. Dysonans poznawczy, sam w sobie będący dojmującym i bolesnym doświadczeniem wewnątrznie irracjonalnego losu, niepozwalającego na racjonalne rozwiązania, w ich przypadku uległ podwójnemu wzmocnieniu. Otaczająca ich rzeczywistość kwestionuje wartości, do których szanowania i kultywowania ich wychowano, i w równym stopniu odrzuca możliwość zaakceptowania wartości, do których ich usilnie zachęca, nawet jeśli przekaz zachęcający do nich brzmi niejasno i dezorientująco: „Integrujcie się! Integrujcie! Ale biada tym, którzy spróbują, i wyklęci będą ci, którym się uda. Wstyd i zemsta spadną na wasze domy!” (Zauważyć należy, że liczba ofiar islamskiego terroryzmu wśród „braci i siostr oraz dzieci muzułmańskich” znacznie przewyższa liczbę wszystkich innych ofiar. Jeśli Szatan i jego pomocnicy/narzędzia nie wybierają, dlaczego mieliby to czynić ci, którzy z nim walczą i w przyszłości go pokonają?).

Niejasność (ambiwalencja, irracjonalność) takiego losu pogłębianą jest przez geopolityczny zbieg okoliczności, który pozostawia świat muzułmański po drugiej stronie barykady. Tak się składa, że gospodarka bogatych i „zaawansowanych” krajów opiera się na nadzwyczaj wysokim zużyciu ropy naftowej (nie tylko w sensie paliwa dla samochodów, ale również ropopochodnych surowców niezbędnych dla podstawowych gałęzi przemysłu), podczas gdy gospodarka Stanów Zjednoczonych, zdecydowanie największej potęgi militarnej świata, prosperuje dzięki utrzymywaniu sztucznie zaniżonych cen paliw. Tak się składa również, że najbogatsze zasoby ropy naftowej, i jedyne mające być ekonomicznie opłacalnymi do połowy stulecia, są pod administracją islamskich (dokładniej arabskich) rządów. Arabowie trzymają rękę na kurkach rurociągów życiodajnej

energii płynącej do bogatego i potężnego Zachodu. Gdyby – tylko gdyby – je zakręcili, miałoby to praktycznie niewyobrażalne, ale na pewno dramatyczne (katastrofalne z punktu widzenia mocarstw zachodnich) konsekwencje dla planetarnej równowagi sił. Wszystkie te zbiegi okoliczności w dwojaki sposób potęgują najwyraźniej niezmienną dwuznaczność położenia muzułmanów.

Łatwa do przewidzenia chęć „nowoczesnej części” planety do zapewnienia sobie wyłącznej kontroli nad najcenniejszymi złożami ropy stawia ją w bezpośredniej konfrontacji ze światem islamskim. Od czasów apokryficznego spotkania Franklina D. Roosevelta z królem Saudem na pokładzie amerykańskiego krążownika ponad pół wieku temu, kiedy to amerykański prezydent zagwarantował utrzymanie przy władzy dynastii saudyjskiej rządzącej niemal bezludnym, ale bajecznie bogatym w ropę półwyspem, a świeżo koronowany król obiecał nieprzerwane dostawy ropy dla amerykańskich przedsiębiorstw, oraz późniejszego puczu zorganizowanego przez CIA, obalającego demokratycznie wybrany rząd Mosaddegha w Iraku, kraje zachodnie i USA nie mogą zaprzestać ingerowania w politykę islamskich państw Bliskiego Wschodu, stosując jako główną broń sporadyczne szczodre łapówki oraz groźby sankcji ekonomicznych lub bezpośredniej interwencji wojskowej. Sam warunek utrzymania odkręconych kurków i pełnych rurociągów pozwala trwać u władzy reakcyjnym reżimom (a w przypadku wahabickich Saudyjczyków, radykalnym fundamentalistom), których dni dawno już minęły i które z całą pewnością nie przetrwałyby długo bez zachodniego, a szczególnie amerykańskiego, parasola wojskowego.

To właśnie Donald Rumsfeld, obecny sekretarz obrony USA, jako wysłannik amerykańskiego rządu obiecał niegdyś poprzeć dyktaturę Saddama Husajna w Iraku miliardami dolarów kredytów rolniczych, najnowszymi technologiami wojskowymi wartymi miliony dolarów, jak i wywiadem satelitarnym, który mógł zostać bezpośrednio wykorzystany do skierowania broni chemicznej przeciwko Iranowi – i Stany Zjednoczone słowa dotrzymały. Królowie i dyktatorzy u steru władzy chętnie wykorzystują swoje fortuny, aby otoczyć się najbardziej wymyślnymi zabawkami, jakie może zaoferować zachodnie społeczeństwo konsumpcyjne, jednocześnie wzmacniając swoich pograniczników i zbrojąc własną tajną policję, by zapobiec przemytowi produktów zachodnich demokracji. Park samochodowy pełen najnowszych gadżetów – tak, wolne wybory – nie; tak dla klimatyzacji, nie dla równouprawnienia kobiet; i najbardziej stanowcze nie

dla równego podziału nagłych wielkich zysków, swobód osobistych i praw politycznych swoich poddanych.

Druga z konsekwencji szczególnego nawarstwienia się zbiegów okoliczności wydaje się iść w przeciwnym kierunku: wybiórco „zwesternizowana” część elit bogatych islamskich krajów może przestać pogrążyć się w swoim kompleksie niższości. Dzięki swej „kłopotliwej władzy” nad bogactwami, których Zachód pożąda, ale nie może osiąść, mogą one pozwolić sobie na krok ostateczny: rościć sobie pretensje do statusu nadrzędnego w stosunku do tych, których przetrwanie zależy od zasobów, którymi tylko i wyłącznie oni mogą zarządzać. Nic tak nie utwierdza poczucia własnej mocy jak fakt, że się jest przekupywanym przez najpotężniejszych.

Nie ma chyba prostszej ani bardziej oczywistej kalkulacji: jeśli tylko niepodzielnie zapanujemy nad paliwem, które zasila ich silniki, moloch zostanie sparaliżowany. Będą musieli jeść nam z ręki i grać według naszych zasad. Strategia ta jednak, w przeciwieństwie do samej kalkulacji szans, nie jest wcale ani prosta, ani oczywista. Choć mamy wystarczająco dużo środków na zakup coraz większych ilości broni, to wszystkie te pieniądze z łapówek nie wystarczą, aby dorównać im potęgą militarną. Alternatywą może być, nawet jeśli jest to gorsze wyjście, wdrożenie innej broni, której również posiadamy niemało, jeśli nie więcej niż oni: nasz potencjał kłopotliwości, potencjał pozwalający uczynić walkę o władzę zbyt kosztowną, niewartą kontynuowania lub wręcz niemożliwą do kontynuowania. Biorąc pod uwagę rażącą bezbronność ich krajów i społeczeństw, niszczyielska zdolność naszej kłopotliwej mocy może również przewyższyć niewątpliwie niesamowity potencjał ich broni masowego rażenia. Znacznie mniej materiałów, ludzi i pracy trzeba przecież, by sparaliżować Nowy Jork czy Londyn niż wykurzyć jednego dowódcę terrorystów z jego górskiej kryjówki lub jego podwładnych z piwnic i strychów miejskich slumsów.

Kiedy w walce z dysonansem poznawczym wypróbujemy wszystkie podręcznikowe, domowe lub chałupnicze środki zaradcze i okaże się, że wszystkie one nie przynoszą oczekiwanych wyników, pozostanie nam tylko pogodzenie się z żalonym losem szczurów laboratoryjnych, które dowiedziały się, że smakołyki piętrzące się na końcu labiryntu można zjeść tylko za cenę wstrząsów elektrycznych. Może ucieczka z labiryntu raz na zawsze (opcja niedostępna szczurom laboratoryjnym) przyniesie satysfakcję, której nigdy nie dorówna najbardziej sumienne studiowanie zawilości korytarzy?

To, czy próbować będą, czy też nie, odnaleźć wyjście z opresji, i to, czy pozostanie im nadzieja, czy tylko beznadziejne myślenie o możliwości odnalezienia drogi ucieczki z dysonansu po tej stronie labiryntu, nie wydaje się mieć specjalnego znaczenia dla ich położenia. Nagroda za posłuszeństwo nadchodzi irytująco powoli, podczas gdy kary wymierzane są codziennie tym, którzy niezbyt się starają lub starają za bardzo (i czym miałyby być to niestranie się „za bardzo”, by nie zostało uznane za niewystarczające staranie się?!).

Zostanie terrorystą jest wyborem; pozwolenie sobie na zaślepienie przez zwykłą zawiść, resentment czy nienawiść jest także wyborem. Bycie karanym za prawdziwe czy domniemane stawianie czoła takim wyborom nie jest jednak kwestią wyboru, gdyż konfrontacja taka wynika z wyroków losu. Sam fakt, że niewielu ludzi „takich jak ty” dokonało niewłaściwych wyborów, jest wystarczającym powodem, by pozbawić ciebie prawa do dokonania własnego, słusznego wyboru; a jeśli mimo wszystko go dokonałeś, to sam ten fakt nie pomoże przekonać tych, którzy będą tu sędziami lub którzy uzurpują sobie prawo do wydawania wyroków, że jest on waszym dziełem i że dokonaliście go szczerze.

Paru morderców-samobójców wystarczy, by zamienić tysiące niewinnych ludzi w „typowych podejrzanych”. W krótkim czasie kilka nikczemnych indywidualnych wyborów przerobionych zostanie na cechy charakterystyczne całej kate g o r i i, kategorii łatwo rozpoznawalnej – na przykład po podejrzenie ciemnym odcieniu skóry lub podejrzenie wypchany plecaku – cechy, na które tak czule są kamery monitoringu i na które popularnie zwraca się przechodniom uwagę w ramach ostrożności. A przechodnie chętnie się odpłacają. Od czasu ataków terrorystycznych w londyńskim metrze w całym kraju gwałtownie wzrosła liczba „ataków rasistowskich”. W większości przypadków nie potrzebny był nawet prowokujący plecak.

Kilkunastu gotowych zabijać islamskich spiskowców wystarczyło, by wytworzyć atmosferę oblężonej twierdzy i falę „ogólnego poczucia braku bezpieczeństwa”. Brak poczucia bezpieczeństwa wywołuje wśród ludzi gorączkową potrzebę znalezienia celu dla wyładowania nagromadzonego wewnętrznego lęku i odzyskania straconej pewności siebie załagodzeniem odrażającego, zatrważającego i poniżającego poczucia bezradności. Każda ze stron podsyca jeszcze strach, emocje, zapal i zatwardziałość drugiej strony. Zamknięta w ten sposób w uścisku płynnonowoczesnego *dance*

macabre, żadna ze stron nie pozwoli na pojawienie się nawet małego promyka nadziei na zakończenie oblężenia.

David Lyon w swoich badaniach nad technologią monitoringową wprowadzoną na masową skalę na ulicach miast po 11 września odnotowuje „niezamierzone skutki”: „poszerzanie się sieci nadzoru [...] i zwiększone narażenie na monitoring codziennego życia zwykłych ludzi” (Lyon 297–311). Możemy spierać się jednak, że wśród wszystkich tych „niezamierzonych skutków” monitoringu palma pierwszeństwa należy się efektowi „przekaznik to przekaz”. Technika służąca do obserwowania i rejestrowania zewnętrznych, widocznych i dających się sfilmować obiektów nie jest w stanie nie dostrzegać i ignorować indywidualnych motywacji i wyborów kryjących się w zapisanym obrazie, co musi prowadzić ostatecznie do tego, że zamiast pojedynczych złoczyńców pojawią się „podejrzane kategorie”. Jak to ujął Lyon, ze względu na zrozumiałe pragnienie bezpieczeństwa, wraz z naciskiem na zaadoptowanie kolejnych rodzajów systemów i za naszą zgodą czy bez niej, kultura kontroli będzie kolonizować coraz to nowsze dziedziny życia. Zwykli mieszkańcy obszarów miejskich, producenci i konsumenci – to znaczy ludzie całkiem pozbawieni ambicji terrorystycznych – nagle stwierdzą, że ich szanse życiowe są coraz bardziej ograniczane przez kategorie, do których zostali przypisani. Dla niektórych kategorie te okażą się szczególnie szkodliwe, ograniczając ich wybory konsumenckie ze względu na ich rating kredytowy lub, co jest bardziej podstępne, spychając ich do grupy obywateli drugiej kategorii ze względu na kolor skóry lub pochodzenie etniczne. Stara historia powraca w przebraniu zaawansowanych technologii (Lyon 297–311).

Anonimowy policjant, który przeprosił Girmę Belaya, mającego pecha etiopskiego uchodźcę i inżyniera morskiego, za to, że inni policjanci brutalnie wdarli się do jego londyńskiego mieszkania, rozebrali go, pobili, przyparli do ściany, po czym przetrzymywali go w areszcie przez sześć dni bez aktu oskarżenia, powiedział tylko: „Przepraszam, koleś – złe miejsce, zły czas”, a mógł (i powinien) jeszcze dodać „i zła kategoria”... A oto, w jaki sposób Belay podsumował konsekwencje tej kategoryzacji i indywidualnego cierpienia, jakiego doznał: „Ciągłe się boję, boję się wychodzić z domu”. I obwinia za swój los tych „cholernych terrorystów”, którzy „działają w taki sposób, że odbierają takim ludziom jak ja całą radość i wolność” (podkreślenie własne, cyt. za: Laville 7).

Niczym w błędnym kole, zagrożenie terroryzmem staje się inspiracją dla nowego terroryzmu, rozsiewającego wokół siebie coraz większy strach i zastraszającego coraz to większe rzesze ludzi – dwa produkty aktów terrorystycznych, od których wzięły swoją nazwę i które są celem ich planowych działań i przygotowań. Można powiedzieć, że zastraszone masy są najbardziej niezawodnymi, chociaż mimowolnymi sprzymierzeńcami terrorystów. „Zrozumiałe pragnienie bezpieczeństwa” zawsze gotowe jest na wykorzystanie przez sprytnych manipulatorów, a raz rozbudzone przez pojedyncze i pozornie nieprzewidywalne akty terroru, w końcu okazuje się głównym materiałem, dzięki któremu terror może nabrać rozmachu.

Nawet w mało prawdopodobnym przypadku uszczelnienia granic w obronie przed wszelkimi możliwymi podróżnikami z krwi i kości prawdopodobieństwo kolejnego zamachu terrorystycznego nie zostanie zredukowane do zera. Globalne urazy przepływają w globalnej przestrzeni równie łatwo, jak kapitał, ostatnie przeboje czy style mody, a chęć zemsty szuka prawdziwych czy też urojonych winowajców lub (w przypadku gdy są nieosiągalni) najdogodniejszych kozłów ofiarnych. Gdziekolwiek się nie pojawią, problemy globalne stają się lokalnymi, szybko zapuszczają korzenie, „zadamawiają się”, a nie znalazłszy żadnych globalnych rozwiązań, znajdują sobie lokalne cele, na których mogą wyładować wynikłą frustrację. Uciekając przed aresztowaniem Hussain Osman, jeden z głównych podejrzanych o zamach bombowy w londyńskim metrze, udał się do Włoch, gdzie według Carla De Stefano, wysokiego urzędnika włoskiej policji antyterrorystycznej, „nie stwierdzono żadnych kontaktów pomiędzy nim a jakkolwiek z lokalnych grup terrorystycznych”; „nie wydaje się być w kontakcie z żadną ze znanych grup terrorystycznych”, „wydaje się, że w tym przypadku mamy do czynienia z działającą samotnie doraźną grupą”, stwierdził na koniec De Stefano.

Przypadki krzywd wyrządzonych przez siły polityczne, które wymknęły się spod kontroli na naszej negatywnie zglobalizowanej planecie, są liczne i wszechobecne, a przede wszystkim rozproszone po całej jej powierzchni. Gleba na całej planecie jest dobrze przygotowana na przyjęcie ziaren terroryzmu, a wędrowne „mózgi” stojące za terrorystycznymi atakami mogą spodziewać się zastać żyzny grunt, gdziekolwiek się zatrzymają. Nie muszą nawet specjalnie tego planować, budować czy dbać o sztywne struktury dowodzenia. Terrorysty nie tworzą armii, ale są ich chmary, synchronizowane bardziej niż koordynowane, praktycznie pozbawione

jakiegokolwiek nadzoru oprócz doraźnych dowódców plutonów i kaprali. Aby z praktycznej nicości narodziła się „grupa zadaniowa”, wystarczy pojawienie się odpowiednio spektakularnego przykładu, który zostanie następnie usłużnie i szybko rozpowszechniony i utrwalony w gospodarstwach domowych przez wiecznie głodne widowiska sieci telewizyjne i wszelkiego rodzaju autostrady informacyjne, którymi terroryści przekazują dalej swe ruchome przekazy.

Jak nigdy dotąd stara antropologiczna koncepcja „dyfuzji bodźca” (oznaczająca prototypy i inspiracje, które przemieszczają się pomiędzy krajami i kulturami w towarzystwie lub bez tych, którzy je oryginalnie praktykowali lub propagowali, formy pozbawione „naturalnego środowiska”, w którym się narodziły i ukształtowały) nie pasowała tak dobrze do charakteru dzisiejszej komunikacji międzykulturowej i epidemicznego, zaraźliwego potencjału innowacji kulturowych. Na planecie poprzecinanej autostradami informacyjnymi przekaz znajduje i wybiera swych własnych wdzięcznych odbiorców, nawet ich nie szukając, lub może niezawodnie zostać odnaleziony przez potencjalnych wdzięcznych odbiorców, którzy z ochotą wezmą na siebie mękę wyszukiwania (surfowania po sieci).

Spotkanie pomiędzy przekazem a odbiorcą zostało znacznie ułatwione na planecie przekształconej w mozaikę diaspor etnicznych i religijnych. Na takiej planecie dawne podziały pomiędzy tym, co „wewnątrz”, i tym, co „na zewnątrz”, lub w naszym przypadku pomiędzy tym, co w „centrum”, a tym, co na „peryferiach”, nie są już możliwe do utrzymania. „Zewnętrzność” terroryzmu zagrażającego ludzkiemu życiu jest tak samo hipotetyczna jak „wewnętrzność” życiodajnego kapitału. Słowa narodzone w obcych językach stają się ciałem w krajach, do których docierają, a rzekomi „outsiderzy” okazują się w większości przypadków osobami urodzonymi i wychowanymi na miejscu, natchnionymi/nawróconymi przez idee *sans frontières*. Nie ma już linii granicznych, są tylko oddzielne, szeroko rozproszone i wybitnie mobilne pola bitew; nie ma regularnych oddziałów, tylko cywile, którzy na jeden dzień przedzierzgnęli się w żołnierzy, i żołnierze na bezterminowych przepustkach. Wszystkie „armie” terrorystyczne to armie krajowe, niepotrzebujące koszar, wieców ani placów defilad.

Machina państwa narodowego, wynaleziona i utrzymywana, by strzec suwerenności terytorialnej i po to, by jednoznacznie oddzielić tych, co wewnątrz, od tych, co na zewnątrz, została zaskoczona, była nieprzygotowana na „okablowanie” planety. Dzień

po dniu, jeden terrorystyczny zamach po drugim, państwowe instytucje porządku publicznego uświadamiają sobie własną nieporadność w radzeniu sobie z nowymi zagrożeniami, które ostentacyjnie kładą kres ortodoksyjnym, uświęconym i pozornie sprawdzonym wiarygodnym kategoriom i rozróżnieniom.

Wszystko to nie zapowiada rychłego nadejścia czasów wolnych od ambiwalencji, tego przebogatego źródła lęków, braku poczucia bezpieczeństwa i strachu, których doznają zarówno ludzie, zmuszeni w nich żyć, jak i ci żyjący w ich natrętnej obecności. Trudno wyobrazić tu sobie jakiś szybki albo łatwy środek zaradczy. Wraz z narastającą diasporyzacją światowego społeczeństwa i niemal całkowitym rozkładem ortodoksyjnych hierarchii kulturowych każde zaproponowane rozwiązanie spotka się z dużym sprzeciwem. Wraz ze zniknięciem ze słownika politycznej poprawności pojęć kulturalnej wyższości lub niższości, tradycyjny i dawniej powszechnie sprawdzony sposób na utrwalenie wyników radzenia sobie z ambiwalencją, proces „kulturowej asymilacji” (obecnie w ramach grzeszności nazywanej „integracją” z zachowaniem dawnych strategii) jest już nie do przyjęcia ani nie da się go chyba dziś konsekwentnie doprowadzić do końca.

KOMENTARZ

Jak nie zawstydząć Boga: słowo do wykładu Zygmunta Baumana

KONSTANTY GEBERT

Wrocław 2007

Zanim spróbuję odpowiedzieć na pytanie postawione powyżej, chciałbym pokrótce odnieść się do podstawowej koncepcji wyłożonej przez profesora Baumana. Wiem, że wchodzenie w publiczną polemikę z profesorem Baumanem jest szczególnie wyrafinowaną i perwersyjną formą samobójstwa, lecz mimo wszystko spróbuję. Zaczął on od opisu sytuacji, w której polityka i religia wydają się wywierać na siebie nawzajem wpływ – kwestią sporną pozostaje tu tylko, która wywiera wpływ na którą – a stwierdziwszy to, wyjaśnił, na czym taka interakcja miałaby polegać. Mówiąc to, profesor Bauman zdawał się zakładać: a) rozdzielenie polityki od religii oraz b) potrzebę wyjaśnienia interakcji pomiędzy nimi. Moje założenie jest wręcz przeciwstawne wobec tego: religia i polityka są i zawsze były częścią tego samego zjawiska i jeśli faktycznie istnieje pomiędzy nimi jakiś rozdział i relatywne osłabienie wpływu jednej na drugą, wymaga to wyjaśnienia. Oczywiście, zgadzam się z profesorem, co do podstawowego elementu upokorzenia polegającego na naszej śmiertelności. Że wszystko kiedyś będzie miało swój koniec – moje marzenia, miłości, nienawiść, moja praca; że wszystko to zginie bez śladu, nawet w tym lepszym świecie, który pan opisuje, w którym nie będzie już globalnych rynków ani imperializmu, ani też kosmopolitycznych miast. Cokolwiek by się nie stało, będziemy nadal śmiertelni – ostateczne upokorzenie. Religia to naturalna

odpowieź. Mówi nam: „Nie, ufaj mi, to jeszcze nie koniec”. Dlatego podstawowa ludzka relacja z wszechświatem odbywa się poprzez nią. Ta relacja może zostać zerwana, i wiele razy była zrywana, ale bez niej ludzki świat staje się niezrozumiały.

Bardzo naturalne jest to, że religia wypowiada się na temat polityki. Tych z nas, którzy znają Torę, którą chrześcijanie nazywają Starym Testamentem i która jest także Świętą Księgą dla muzułmanów, nie dziwi fakt, że zawiera ona pierwsze w historii prawodawstwo dotyczące strajków i lokautów. Jest jednym z elementów prawa danego ludzkości przez Boga. Rzecz bardzo fundamentalna: robotników nie można pozbawiać ich zarobku i każdego dnia po zachodzie słońca powinni oni otrzymać swoją zapłatę. Jednocześnie mówi ona, że pracodawcy mają prawo odmówić zatrudnienia robotników, jeśli inni są od nich zdolniejsi i bardziej chętni do pracy. Te na pozór przyziemne sprawy stanowią część boskiego objawienia dla ludzkości. Stwierdzenie, że pomimo faktu, iż Bóg naucza nas na temat prawa pracy, religię należy oddzielić od polityki, byłoby nie do pomyślenia. Religia stanowi integralną część polityki i odgrywa, tak jak każdy inny jej czynnik, fundamentalnie dwoistą rolę, albo konstruktywną, albo destruktywną.

Problemem, przed jakim stoi dziś religia, jest fakt, że za każdym razem, gdy widzimy kogoś w telewizji, kogo twarz wykręca nienawiść, kto wygraża pięścią, obrzucając innego obelgami, możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że ten ktoś utrzymuje, że przemawia w imieniu Boga i że przemawia do innych ludzkich istot. W zachodniej telewizji ta twarz będzie zazwyczaj twarzą muzułmanina, ale widzieliśmy już wystarczająco wiele podobnie wyglądających twarzy chrześcijan i żydów, by wiedzieć, że nie jest to tylko cecha islamu. My, ludzie religii, dajemy Bogu bardzo złe imię. I dlatego musimy zająć się tym wyjątkowo destrukcyjnym elementem, który stanowi część wpływu, jaki religia ma na ludzkie

TORA, w judaizmie, w najszerszym rozumieniu sedno boskiego objawienia dla Izraela, narodu żydowskiego: objawione nauki i wskazówki Boga dla ludzkości. Znaczenie słowa *Tora* często ograniczane jest do pierwszych pięciu ksiąg Starego Testamentu (Pentateuch, Pięcioksiąg). Te księgi przypisywane są tradycyjnie Mojżeszowi, odbiorcy oryginalnego objawienia Bożego na górze Synaj. Żydowski, rzymskokatolicki, prawosławny i protestancki, wszystkie kanony zgadzają się co do ich kolejności: Rodzaju, Wyjścia, Kapłańska, Liczb, Powtórzonego Prawa. Termin „Tora” używany jest ponadto jako określenie całej hebrajskiej Biblii lub nawet wszystkich zebranych praw, zwyczajów i ceremonii.

życie. I powinniśmy uczciwie zapytać się siebie, czy religia wniosła do ludzkiego życia więcej dobra, czy zła.

Dla osoby religijnej pytanie takie będzie absurdalne, bo to, że jesteśmy osobami wierzącymi, w dzisiejszym płynnym świecie wynika z naszej decyzji. Możemy dokonać innego wyboru. Lecz jeśli jesteśmy religijni, wynika to z tego, że wiemy, z własnego doświadczenia, od wewnątrz, że to działa. Wiemy, że religia pomaga nam, miejmy nadzieję, stać się lepszymi ludźmi, pomaga nam zmierzyć się z poniżeniem śmiertelności, udziela nam wskazówek, jak być uczciwym w życiu społecznym i politycznym. Tak więc osoby posiadającej wiarę nie trzeba przekonywać, co do wartości religii. Lecz nie zmienia to sposobu, w jaki postrzegana jest ona przez uczciwego, bezstronnego ateistę. Jeśli widzi on tylko twarz – zwykle męskie brodate oblicze – wykrzywioną nienawiścią i – notabene – krzyżącą z ekranu telewizora, obrzucającą kogoś obelgami, nie dziwię się stwierdzeniu: „O nie, nie chcę w tym brać udziału. Jeśli to ma być religia, to beze mnie”.

Moim zdaniem, sposób, w jaki my, ludzie posiadający wiarę, próbujemy rozwiązywać problem motywowanego religijnie zła, w dużej mierze charakteryzuje intelektualna i duchowa nieuczciwość. Uderzył mnie ten fakt bardzo mocno w trakcie międzywyznaniowej konferencji w Sarajewie dwa lata temu, poświęconej dialogowi, religii i społecznej odpowiedzialności, typowe „bla-bla”. Wśród mówców byli przedstawiciele różnych religii, i wszyscy mówili to samo: „Stwierdzenie, że moja religia może być uzasadnieniem zła, jest oszczercze, obraźliwe i nie do przyjęcia. To wszystko wypaczenia; ludzie, którzy popełniają zło, są fanatykami, ekstremistami. Moja religia (islam, prawosławie, katolicyzm) jest religią dobra, a wszelkie zło, które jest podobno motywowane religią, to wypaczenie tego, czego uczymy”. Siedziałem tam, w samym sercu miasta, którego niszczenia w imię religii byłem świadkiem przed laty. Część tych zniszczeń była dziełem rozkazów ludzi siedzących teraz na konferencji i informujących nas, że zło nie jest częścią ich religii. Właśnie wtedy zrozumiałem, gdzie leży problem.

Zło gnieździ się w samym jądrze każdej z tych trzech tradycji. Zjawisko to najjaskrawiej widoczne jest w dzisiejszym islamie, gdyż jest on najmłodsza z tych religii. Islam jest dzisiaj w tym samym wieku, w którym było chrześcijaństwo, gdy wywoływało wojny w całej Europie – w epoce, gdy chrześcijanin mordował innego chrześcijanina w imię większej chwały Pańskiej. Będący w podobnym wieku

judaizm, najstarsza z tych religii, prowokował w późnym okresie świątynnym do wzajemnego mordowania się Żydów, także dla większej chwały Boga. Wydaje się, że gdy religie dorastają do wieku czternastu czy piętnastu stuleci, zaczynają zachowywać się jak czternasto- czy piętnastolatki, ale później z tego wyrastają – więc jest jakaś nadzieja.

A w międzyczasie, no cóż, wyraźnie widać, że islam daje szerokie pole dla nienawiści, przemocy i zła, które pochodzą z samego rdzenia tej religii. Fatwy, nauczanie, religijne uzasadnienia rzezi niewinnych wynikają rzeczywiście z podstawowych nauk islamu, na takiej samej zasadzie jak mordowanie niewiernych i innych chrześcijan wzięło się z podstawowych nauk chrześcijaństwa, a mordowanie Żydów przez Żydów z podstawowych nauk judaizmu. Dopóki i o ile wszystkie te trzy religie nie zdobędą się na cywilną odwagę, aby przeciwstawić się złu pochodzącemu z ich własnego jądra, nie będziemy mogli poradzić sobie z problemem motywowanego religijnie zła.

Zamiast tego mamy dzisiaj coś w rodzaju zmowy milczenia, za której pomocą my, ludzie religii, usprawiedliwiamy zło popełniane przez innych ludzi, spodziewając się podobnej zapłaty. Serbowie, katolicy i muzułmanie biorący udział w tamtej konferencji w Sarajewie, nie skrzyżli się na siebie nawzajem. Wszyscy jednogłośnie powtarzali: „Nasza religia nie ma z tym nic wspólnego” – wiedząc, że jeśli zatają nienawiść innych, inni zatają ich nienawiść. Jako człowiek religii nie mogę się z tym zgodzić. Oczywiście, z doświadczenia wiem, tak jak i inni wiedzą to ze swych własnych obserwacji, że oprócz zła w sercu naszej religii mieści się też nieskończone dobro. Ale możemy się do tego dobra odnieść i wykorzystać je tylko wtedy, gdy nazwiemy rzeczy po imieniu. Powodem popularności wszystkich rzekomych fanatyków i wypaczaczy wiary jest fakt, że potrafią oni zacytować właściwy rozdział i ustęp. Jeżeli mówimy światu, że religijnie umotywowane zło jest wypaczeniem naszej religii, możemy przekonać niektórych ludzi dobrej woli wyznających inne religie. Nie przekonamy tych, których przekonali fanatycy, gdyż stoją za nimi autorytety.

Jaki więc ma to wpływ na nas, mieszkańców wielokulturowego i wieloetnicznego współczesnego świata? Ta zмова milczenia w Sarajewie, którą opisałem, nie dotyczy wyłącznie tego miejsca. Nie widziałem jeszcze dialogu międzywyznaniowego w Europie, w którego czasie ktoś by wstał i powiedział: „Okej, to punkt, w którym moja religia postępuje źle, tutaj w imię mojej religii dokonało się

zło” – nie w sensie wypaczania jakichś fragmentarycznych nauk, ale ponieważ zło mieści się w samym jej rdzeniu. Brak nam cywilnej odwagi. Wierzę, że ostatecznym sposobem na to, aby upokorzyć śmiertelność, jest utrzymanie naszej godności istot stworzonych na obraz Boga. Ale bycie stworzonym na obraz Boga jest nie tylko narzędziem pozwalającym na poradzenie sobie z upokorzeniem śmiertelności, ale jest również zobowiązaniem. Musimy zdobyć się na cywilną odwagę i zająć się złem, które czynimy. Brakuje nam tego! Istnieje kosmopolityczna zmowa milczenia „ludzi dobrej woli”, którzy nie powiedzą złego słowa o sobie nawzajem, w imię uniknięcia napięć i konfliktów. Jednak ostatecznie uniknąć się ich nie da, otaczają nas ze wszystkich stron. A tym sposobem pozbawimy się intelektualnych narzędzi pozwalających nam je zrozumieć i moralnego nakazu, by się im przeciwstawić.